

Janusz Ramotowski

część VI z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **27.10.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,
część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Ramotowski: Zielińscy to Elżbieta, Jerzy, to oni byli moimi znajomymi znowu z Wawrzyszewa. Tam na początku robiliśmy spotkania, właśnie Teoś, Alek, tamta cała kompania. A później ten lokal przejął Piotr Izgarszew. To była spotkaniówka taka, ale przetrwała ten cały okres. Pracowała intensywnie i wypadki nie było.

Artur Kłus: Mówi Pan, że te 2 pierwsze transporty to niby przyjął Alek, ale kolejny już odbiór, przechowywanie, ten kontakt, dystrybucja to już Pan?

Janusz Ramotowski: Znaczący nie ja... Przede wszystkim, przynajmniej do czasu wyjazdu do Stanów, czyli do 1984 roku, te transporty przede wszystkim odbierał Bogdan Sawicki. Nieraz ja z Bogdanem. Ale ja dopiero organizowałem te magazyny, wchodziłem w to. Ja tam miałem jakąś Warszawę, ale Bogdan Sawicki miał samochód osobowy, miał Żukę, miał ciężarówkę, jakiegoś Jelcza czy jakiegoś innego takiego. I do czasu wyjazdu olbrzymią część tych transportów odbierał Bogdan. Często ze mną, to prawda, często ze mną. Chyba nie angażowaliśmy w to nigdy Zenka Barejki, takie mam wrażenie. On później rozwoził. Bogdan współpracował z Markiem Parolem. I wokół tego Marka też znowu były tam jedna, dwie osoby, jeszcze tam gdzieś były, których kojarzę tak, jak kojarzę, znaczący pewnie nie kojarzę, tak bym powiedział.

Artur Kłus: To jest mniej więcej druga połowa 1983?

Janusz Ramotowski: To się zaczęło, powiedzmy, w drugiej połowie 1983 roku. Natomiast jakąś taką sprawność

operacyjną żeśmy osiągnęli na ten 1984 rok. 1984 rok, później wyszło tak, że Bogdan wyjechał do Stanów. Więc odziedziczyliśmy tego Żuka jego. Wtedy już to magazynowanie, odbiór, to wszystko spadło już tylko na mój łeb. –

Co właściwie było dostarczone i skąd Pan wiedział o adresach, o wrzutach, jak to wyglądało?

Janusz Ramotowski: Głównie była to poligrafia, to znaczy maszyny poligraficzne, głównie oczywiście białka A4. Od czasu do czasu maszyny offsetowe, A4 też. O tyle niewdzięczne, że taki offset A4 nawet już waży, bo to jest cholernie ciężkie i też objętościowe. W każdym razie większych maszyn niż format A4 żeśmy nie odbierali. Do tego dochodziło to wszystko, co tej maszynie towarzyszy, znaczy od czasu do czasu przychodziły jakieś zamówienia, nazwijmy je specjalne. W którymś momencie np. odebrałem jakąś lampę nadawczą do nadajnika o dużej mocy, tetrodę taką nadawczą. Był jakiś taki pomysł, że jak nastąpi jakiś strajk generalny, jak oni poodcinają łączność między Regionami, bo blokują ten kraj, to przez te radiostacje, halo, halo, nasze dowództwo będzie się kontaktowało. Stąd przyjechała ta nieszczęsna tetroda, która, ja nie wiem, ona skończyła na śmietniku jakimś w końcu pewnie, bo się gdzieś tam poniewierało, ponieważ została odnotowana, ten kwit z tym transportem wpadł w ręce bezpieki, to oni szukali jak wariaci tej tetrody, ale nigdy tam nic nie znaleźli. Więc to by to było. Składowis, czyli maszyna, na której drukowano, robiono matrycę dla „Tygodnika Mazowsze”, czyli to taka maszyna bardziej już rozwinięta, bo ona miała jakąś tam pamięć, to była już taka elektronika, głowica, to już nie były klawisze, tylko ta głowica była taka tam, na której to się wystukiwało. „Tygodnik Mazowsze” przez cały okres swojego istnienia był robiony na tymże składowisie. Pierwszy składowis został wyciągnięty 13 grudnia z Regionu, wyciągnął go Piotr Izgarszew właśnie. Później gdzieś go tam ukryli, robili tę matrycę, przy Wiślostradzie jakiś taki port był, na jakieś Łódce, na jakimś jachcie tam tłukli. Później już ten zaczął pracować w bardziej normalnych warunkach, ale była to jedna jedyna maszyna i drugiej nie było. I ona się zaczęła sypać w którymś momencie. Więc Region swoimi kanałami zamówił składowis, u Mariana Kalety, ale swoimi kanałami. I to ich kanałami jakoś szło. Ten składowis przyjechał do Polski, jakoś tak wyszło, że go nie miał kto odebrać. I on wrócił z powrotem do tej Szwecji. A tutaj była bida, bo ten składowis, który był, kończył swoje życie. Więc Ewa Kulik zleciła mi, że naszym transportem ten składowis wróci. Szczególną wagę i pieczę, i w ogóle wszystko, co trzeba, bo od tego zależy przyszłość i zwycięstwo naszego ruchu. Składowis przyszedł. Ewa dostała natychmiast wiadomość o tym, bo to jest takie ważne, natychmiast wskazała lokal, bo to Region, konkretnie Ewa, Region podawał mi lokale wrzutowe. Ja nie wiedziałem wtedy, do dzisiaj nie wiem, do kogo ja wrzucałem ten sprzęt. Dostawałem adres lokalu, jakieś tam hasło, jakieś tam takie rzeczy i się wrzucało, tam czekali ludzie, którzy chcieli to odebrać. Raz miałem wrażenie, że wrzucam sprzęt do znajomego, i się wcale nie myliłem, ale on i ja zachowaliśmy się jak rasowa konspiracja. Taki chłopak, nie pamiętam imienia, Karwowski, on był szefem Uniwersyteckiego Klubu Jeździeckiego. Może Adam, ale to już nie przysięgłbym. Nieważne, w każdym razie jakieś kontakty miałem z nim od czasu do czasu z przeszłości. Kontakty turystyczne. Kiedyś dostałem adres, tam mam wrzucić sprzęt. Pojechałem na ten adres i tak się patrzę, Adam, przecież to jest tenże Karwowski, cudów nie ma. ale on mnie nie rozpoznawał, ja go nie rozpoznawałem też. Jak zaniósłem ten powielacz do piwnicy, zobaczyłem, że tam wisi siodło i leżą długie buty, pomyślałem sobie, to ja się nie mylę, ale do końca żeśmy się nie przypomnieli sobie. Śmiesznie to było, ale tak było. Natomiast my nie wiedzieliśmy, do kogo wrzucamy. O tym decydował Region. Sprzęt, który przychodził, były 2 pule sprzętu. Sprzęt dla Regionu i sprzęt dla „NOW-ej”. Ponieważ „NOW-a”, korzystając z tego, że te zakupy tego sprzętu prowadził Mirek Chojecki, a Mirek to jednak był człowiek „NOW-ej” czy z „NOW-a” związany bardzo, więc on organizował osobnymi kanałami pieniądze na sprzęt dla „NOW-ej” tylko. Ale w momencie, kiedy ja odbierałem

ten sprzęt, to przecież ja nie miałem żadnej specyfikacji, listu przewozowego czy jak to nazwać. My żeśmy to wyładowywali i następnie żeśmy to inwentaryzowali. Spisywaliśmy, co przyszło i ile przyszło. I taki kwit tymi nitkami, o których opowiadałem, docierał do Regionu. I z Regionu z powrotem spływały adresy wrzutowe. I co? Czyli sprzęt i adres. Tam żeśmy wrzucali i było. Przez cały okres działalności, jak to ładnie brzmi, przez ten cały okres mieliśmy jedną wpadkę. Straciliśmy 7 radiotelefonów. Towar albo odbieraliśmy we dwóch z Bogdanem, pewnie we dwóch z Bogdanem żeśmy odbierali ten transport. Natomiast transport został wrzucony do budującego się domu, domu w trakcie budowy. I następnego dnia Bogdan dostał wiadomość, że na ten lokal, na ten budujący się dom był nalot bezpieki. Wpadli, zrobili rewizję, zabrali 7 radiotelefonów, o, i tyle.

Artur Kłus: Było to aż nieprawdopodobne, bo bezpieka jakby weszła, to by weszła, prawda?

Janusz Ramotowski: To by wszystko wyjechało i już albo wszystko by zostało, by czekali na nas. Jakoś to brzmiało nieprawdopodobnie trochę. Trzeba było coś z tym zrobić. Z duszą na ramieniu, bo to tak łatwo się gada, a wtedy nam łatwo nie było, żeśmy tam pojechali. Żeśmy pojechali Żukiem Bogdana. Władowaliśmy to wszystko na tego Żuka. To pojechało do Widzka Bukowskiego. Ja natomiast zacząłem robić dochodzenie. Próbowałem wygrzebać, co się właściwie stało, nie wierząc w bezpiekę. I osiągnąłem rezultaty. Wiedziałem, kto to zrobił. Wiedziałem, kto to zrobił, i w tym momencie przerwałem dalsze dochodzenie. Zrobił to też Marek Parola, nazwisko Budek, chyba Tadek, bo ich dwóch było, chyba Tadeusz Budek. On był w KPN. Jak nagle w jego domu, budowanym domu zjawiała się taka masa sprzętu, a ten KPN ciągle był bidny, to złapali, co mogli, złapali te 7 radiotelefonów, resztę też by rozdrapali pomału, tylko musieli się zorganizować. Więc miałem sprawcę i właściwie tylko ich za łeb wziąć, nie? Kłopot polegał na tym, że tenże Tadek Budek to był kuzynem mojej żony. Więc może 7 radiotelefonów bym odzyskał, może bym zrobił wojnę między Regionem a KPN-em, ale byłaby też wojna w rodzinie, więc zameldowałem, że nie jestem w stanie nic wykryć, nic się dowiedzieć. Później Jarek opowiadał, że Region posądza mnie o kradzież i sprzedaż tych radiotelefonów, ale te 7 radiotelefonów, wiem na pewno, zaiwaniał KPN. I niech tam na chwałę im to idzie.

Artur Kłus: Jak Pan szacuje, jaka ilość sprzętu przez Pana ręce w tamtym okresie mogła przejść?

Janusz Ramotowski: Ja zrobiłem statystykę za rok 1984, za pełen rok działalności. Sama końcówka będzie mi się myliła. W każdym razie było tak, że my żeśmy odebrali chyba 54 maszyny, mówię o maszynach poligraficznych, białka i offsety. W tym czasie bezpieka w Polsce zlikwidowała, przejęła 53 maszyny. Byliśmy jedną maszyną do przodu w każdym razie. Tak że uważałem to nawet za jakiś taki sukces. Uzupełniliśmy straty, nawet jest jedna więcej. Więc to robiłem, to pamiętam, bo to przysyłałem ten kwit do Regionu. Tak jak rozmawiałem z Mirkiem Chojeckim, przez nasze ręce przeszła mniej więcej połowa sprzętu wrzuconego do Polski. To nie jest taki zły wynik. Nie jest taki zły wynik szczególnie, że to się szczęśliwie. Naszym pomysłem, Wojtka i moim, była również właśnie ta duża ciężarówka. Żeśmy to wymyślili nawet nie po pijanemu, bo z Wojtkiem jakoś nie popijaliśmy. W każdym razie wymyśliliśmy to w ten sposób, że dobrze byłoby puścić przez Polskę załadowaną ciężarówkę naszym sprzętem, ale jako ciężarówkę tranzytową, co ona wtedy na granicy jest odprawiana, plombowana i jedzie sobie dalej. Koncepcja była taka, żeby rozładować tę ciężarówkę w Polsce, podrabiając tam, powiedzmy, te plomby, wrzucić taką samą ilość worów z piachem, żeby waga się zgadzała. Ta ciężarówka miałaby pojechać do Austrii i w Austrii być zapakowana ponownie.

I powtarzamy numer, prawda? Czyli takie wahadło. I takie wahadło dawałoby na pewno taką ilość sprzętu, zresztą to była prawda, że jedna akcja w roku i reszta urlop. To wyglądało ambitnie, z tym że my nie byliśmy w stanie tego obsłużyć. Pomysł był dobry, natomiast co innego jest, nie wiem, wyciągnąć ze skrytki, powiedzmy, nawet 10 maszyn, bo to można sobie zrobić w lesie, a co innego jest rozładować dużą ciężarówkę. Więc my żeśmy ze sobą koło tego chodzili, machnęliśmy ręką, że nie jesteśmy w stanie tego w ogóle obsłużyć. Ale ta myśl gdzieś tam została, u Mariana Kalety została w głowie. I w momencie, kiedy rozsypała się ciężarówka Svena Järna, to oni kupili tę dużą ciężarówkę, tira kupili. I ten tir przyjechał, był w Polsce 2 razy. Pierwszym razem przejechał, w sumie już mnie nie było, bo ja wyjechałem z kraju, Wojtek też już tego nie robił. Więc Lenart przyjechał pierwszy raz tą ciężarówką, rozładowywał ją Gdańsk, czyli Jacek Merkel i Jan Krzysztof Bielecki. Oni wynajęli gdzieś jakieś gospodarstwo ogrodnicze, kwiatowe nieczynne. I tam była rampa, na której można było podstawić tę ciężarówkę. Oni ją tam podstawili i rozładowali. Nie mieli ludzi do tego rozładunku, to już nie pamiętam który, czy to Bielecki, Jan Krzysztof Bielecki, za zaliczenie jakichś egzaminów. Pomożesz w rozładunku, będziesz miał egzaminy zaliczone. Jakoś to się w tym stylu odbyło. Jednym z rozładowujących był wojewoda, jak on się nazywał, ten przed Radziwiłłem, powiedzmy, za starej władzy, za Platformy chyba, Kozłowski, nie Kozłowski, Wojewoda mazowiecki późniejszy. Jak?

Artur Kłus: Kozłowski.

Janusz Ramotowski: Kozłowski, no. To był jednym z tych ludzi rozładowujących wtedy ten transport. Oni tam mieli wpadki już w trakcie rozwożenia na magazyny i przewożenia, ale ilość tego sprzętu była taka, że Region już, Region TKK, bo to już szło na poziomie TKK, TKK już nie chciało następnego transportu. Bo ilość sprzętu, która znalazła się w Polsce, była taka, że nasyciła rynek, na czarnym rynku ceny offsetów spadły o 20%. Marian natomiast pił, żeby zrobić jeszcze jeden taki przerzut, z powodów dla mnie niezwykłych. Ja myślę, że jemu się nagromadziło, ten sprzęt był, trzeba było się go pozbyć. Nie wiem, pił, żeby to zrobić drugi raz. I to się odbyło drugi raz. Wtedy właśnie Lenart wpadł na granicy. Został zatrzymany od razu na granicy. Już się z Marianem o to nie kłóć głównie z tego powodu, że Mariana nie ma, to już sobie odszedł.

Artur Kłus: Artur Kłus: Lenart był bratem Svena?

Janusz Ramotowski: Bratem Svena. To on te 2 transporty wiozł. Według mnie, znowu według mnie, bo dokumentów na ten temat nie znalazłem i pewnie ich nie ma, ładować tę małą ciężarówkę, którą jeździł Sven, można było robić tak, jak żeśmy to ładowali, oni to na parkingach po tej Szwecji tam. Podjeżdżało się jednym, drugim samochodem osobowym, upychało się ten towar. I nikt nie widział, nikt nie słyszał. Na parkingu takie rzeczy można robić. Załadowanie takiej ciężarówki może znowu się odbywać tylko i wyłącznie w sytuacji, kiedy mamy ten cały niezbędny sprzęt i miejsce. I Marian wynajął w Malmö kawałek fabryki, tam była jakaś upadła fabryka, która została poszatkowana na różne części. On tam jakiś kawałek wynajął na ten swój magazyn i na to parkowanie. Kłopot polegał na tym, że Mariana już wtedy znano. On był znaczony. Przed stanem wojennym był znany władzom polskim jako... Natomiast jakiś inny kawałek fabryki był wynajęty przez warsztat samochodowy. I tam przyjeżdżali pracownicy konsulatu z Malmö, żeby naprawiać swoje samochody. Według mnie to się odbyło w ten sposób, bo tę całą akcję rozpracowania transportów ze Szwecji prowadził ten Petelicki, jakżeż mu na imię było?

Artur Kłus: Sławomir.

Janusz Ramotowski: Sławomir, ten co tam później sobie w łeb strzelił. Petelicki to prowadził, on wiedział o istnieniu Mariana. Nigdy nie udało im się połączyć Svena z Marianem. Natomiast ten lokal, według mnie, oni wykryli. Oni wykryli, oni widzieli załadunek tej ciężarówki. Ponieważ to, co się odbyło na granicy, to z kolei jest w IPN-ieteczka opisująca tę sprawę od początku do końca. Po stronie szwedzkiej, zdaniem Mariana, oni robili numer, którego ja nie rozumiem do dzisiaj, teraz nie rozumiem, bo już ludzi nie ma, a Lenarta też już od dawna nie ma. Oni przekręcali tablice rejestracyjne. Nie wiem po co.

Artur Kłus: Jeszcze w Szwecji?

Janusz Ramotowski: Ładowali na tych tablicach normalnych, a później przed wjazdem na prom przekręcali tablice. Jaki był cel tej akcji, nie jestem w stanie zrozumieć. Szczególnie że nie mieli 2 kompletów papierów na obydwie tablice. Ale taki mieli pomysł. Zdaniem Mariana tego dnia celnik szwedzki nie miał co zrobić ze swoim synem, który chodził do szkoły, szkoły nie było, jakieś takie wydarzenia. I wtedy wprowadzono już system kontroli na komputer, na którym celnik mógł sprawdzić, patrząc na numery, co to za samochód. Rzekomo to się odbyło w ten sposób: celnik stuku puku, numerki, mówi swojemu synkowi: „Zobacz, synku, tutaj zaraz nam wyskoczy taka ciężarówka, bo ona tu stoi i ma takie numerki”. I wyskoczył jakiś ten Volkswagen osobowy. Więc celnik zrobił drakę, przyjechała policja. Marian to obserwował z boku i zadzwonił natychmiast na SÄPO. To jest ichnia bezpieka szwedzka. On miał z nimi taką umowę, tam go specjalnie chyba nie lubili, nie cenili za specjalnie, ale powiedzieli mu, że gdyby miał jakiś poważny problem, to wtedy oni są gotowi jakiejś tam pomocy udzielić. I dali mu numer telefonu, pod który ma dzwonić w razie draki. Więc Marian zadzwonił, oni przyjechali. Rozkazali temu celnikowi, żeby wpuścił tę ciężarówkę na plac. I koniec, „morda w kubel”, bo nie twoja sprawa, ty nam się do tego nie mieszaj. Szwedzki celnik wysłał fax, telefonogram, nie wiem, jak to nazwać, jak to się wtedy nazywało, do władz polskich, że to się wydarzyło. I tutaj zaczynamy się z Marianem rozjeżdżać. O ile wiem, że to mogło się rozpocząć od tego numeru z numerami ciężarówki, o tyle nie jestem w stanie uwierzyć, że celnik, czy w Szwecji, czy w Polsce, czy gdziekolwiek indziej, w momencie, kiedy miejscowa bezpieka mówi mu: „Siedź cicho”, czy on będzie informował przeciwnika, powiedzmy sobie, prawda, z którymi ta bezpieka walczy. W to nie jestem w stanie uwierzyć. Fakt istnienia takiego faksu, on ten fax, w sensie ta informacja, ta depesza, ten telegram leży w Krakowie. Jest tam, jak oni się nazywają, Centrum Ruchu Niepodległościowego. Tam leży archiwum Mariana. I tam leży również tenże dokument. Znowu, a dlaczego on tam leży? Ponieważ jak się cała sprawa skończyła z Lenartem, to teraz dla odmiany polska bezpieka przekazała tę depeszę szwedzkiej bezpiece. I ja w tym momencie albo muszę się upić, żeby zacząć to rozumieć, albo nie jestem w stanie zrozumieć. Walczę ze sobą, ale ta depesza wróciła do Szwedów. A Szwedzi co mieli zrobić? Oddali Marianowi, Marian w końcu przekazał do archiwum. Jeżeli, a ja widziałem ten dokument, widziałem go na swoje oczy, jeżeli ten dokument istnieje, bo istnieje, jeżeli jego droga była taka, jak tu opowiadam, to mogę sobie wyobrazić tylko jedną jedyną kombinację, że ten dokument, ta depesza została stworzona w Polsce już w trakcie, powiedzmy, sprawy Lenarta tylko po to, żeby wrócić do Szwecji, żeby skierować podejrzenia w tym kierunku, w którym chcemy. Polska bezpieka podrzuciła to Szwedom, żeby myśleli, że to tak było. W końcu żeby Kaleta myślał, że tak było. Według mnie ciężarówka została namierzona

przez pracowników konsulatu w Malmö. Informacja o tym została przekazana służbom celnym polskim. Dowód na to, że w momencie, kiedy Polska urządzała alarm odnośnie do zatrzymania tej ciężarówki, celnicy polscy mieli znaleźć dowody przestępczej działalności w kabinie tej ciężarówki, w kabinie Lenarta, nie tykając, broń Panie Boże, naczepy. Naczepy nie wolno otwierać. Nie wolno patrzeć, tu w kabinie musicie znaleźć. Znalezione zbyt dużą ilość koron szwedzkich, znaleziono szylingi austriackie i tam jeszcze znaleziono pieniądze. Nie znowu jakieś takie straszne pieniądze, żeby to przerażało, ale trochę więcej niż. I to było powodem zatrzymania. Między informacją, co należy robić, a przyjazdem oficerów z Departamentu I MSW z Warszawy minęło raptem 5 godzin. Akcja się rozpoczęła wieczorem i teraz ja znowu pytam, w jaki sposób, nie wiedząc o niczym, bezpieczeństwa w Warszawie dostaje nagle, w nocy dostaje wiadomość, że jest taka sprawa. Dostaje oficer dyżurny, gdzieś tam dyżuruje w tymże biurze w tym Departamencie I. On ma czas, żeby po pierwsze złapać ludzi, którzy są w domach, ściągnąć ich do siebie, wyciągnąć im dossier Svena, wręczyć im, są to ci sami ludzie, którzy Svena robili wcześniej, wręczyć im te dossier i oni na rano już są w Świnoujściu. No dobra, na rano w Świnoujściu. Helikopterem ich wieźli. Ale to w dalszym ciągu wymaga czasu. To się nie robi, ja bym tak nie potrafił, oni też chyba nie. Według mnie oni wiedzieli wcześniej, to wszystko było przygotowane. I tyle. Wiedzano, że Lenart będzie jechał. Wiedzano, że będzie miał ten towar. Wiedzano wszystko, stąd ci sami oficerowie, stąd wszystkie papiery Svena. Po prostu Lenart jechał już schwytany, w momencie, kiedy wsiadł na prom, to już go nie było.

Artur Kłus: Jaki to jest okres?

Janusz Ramotowski: Ja już byłem we Francji. To może być 1986. 1986, pewnie tak, w tej mojej książce można to sprawdzić, ale to tak będzie, bo ciężarówka Svena się rozsypała, a organizacja... 1986. Miejsce zostało znalezione przez nich, bardzo fajna polana, szlaban, ale niezamknięty na kudę. Znak „zakaz wjazdu”. Fakt jest faktem, że na tym zakazie wjazdu wisiały damskie majtki, ale różne rzeczy wiszą, co nas to obchodzi. W momencie, kiedyśmy wprowadzili tę ciężarówkę na tą polankę, okazało, że tam stoi samochód Wartburg. W tym samochodzie kierowca obrabia jakąś panienkę. Zatrzymaliśmy ich oczywiście. Panience nie daliśmy się ubrać, tylko tam tymi latareczkami tam, jak nie jeden, to drugi, jak nie drugi, to trzeci tam tę panienkę oglądał. Transport został przerzucony do Żuka Bogdana. Bogdan pojechał, chyba wszyscy pojechali poza mną tylko jeszcze. Ja spisałem, poprosiłem o dowodziki tego Pana i tą Panią, może Marek został, nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Może Wojtek też był w tym wszystkim, już nie pamiętam. Ja spisałem, powiedziałem, żeby zapomnieli, co widzieli, a jakby się nie udało im zapomnieć i zaczęli o tym gadać tam, gdzie nie trzeba, to ich znajdziemy i tam się to odbędzie. Ta ugroza [groźba] była jeszcze o tyle silniejsza, że my żeśmy na te akcje często zabierali, dostaliśmy od Mariana Kalety takie rewolwery gazowe. Może nie zawsze, ale bardzo często te rewolwery żeśmy mieli ze sobą. Z bezpieczeństwem byśmy z tym nie powalczyli za specjalnie, ale żeby przestraszyć to nie była taka zła rzecz. Była dobra rzecz, bo to ładnie wyglądało rzeczywiście. Sprawnie, więc jeszcze i te rewolwery, że to wszystko. Ta panienka i tenże kierowca byli przerażeni. Jak on ruszył, jak puściłem, jak on ruszył po tych korzeniach, po tych wertepach, to ja się przeraziłem, że on urwie zawieszenie od tego Wartburga. I dopiero wtedy będzie heca, bo się rozkraczy na tej polanie. Że jakaś pomoc, to już nie ja, ale coś się zacznie odbywać. Ale, brykając na pół metra do góry, jakoś tam wyjechał. Nie wiem, czy on jeszcze się wypuszczał kiedyś na panienki w ten sposób czy już mu przeszło. Jak się wypuszczał, to zacięty chłop. – A trudności, problemy były przy dostarczaniu tych wrzutów? Pan kiedyś wspominał, że najtrudniej było na Ursynowie. – A nie no, Ursynów,

teraz sama Warszawa dla mnie jest straszna po prostu. Ja już tam, znaczy tyle się nawłóczyłem na lewo, na prawo, że już i Warszawę zapominam. A Ursynów jest potworny, jeżeli chodzi o adresy, jest czymś zupełnie potwornym, makabrycznym. Te ulice, te numery tych domów, które nie są po kolei tam. Ja to jak przez mgłę pamiętam, ale tam nie było mowy, żeby próbować podjechać, nie sprawdzając wcześniej, jak się podjeżdża do jakiegoś tam lokalu, do jakiegoś tam, bloki, mieszkania w blokach, ponieważ jest to dla mnie jakaś dżungla, jeśli chodzi o znakowanie tych ulic i tych domów, to dla mnie dżungla, po której się w ogóle nie potrafiłem poruszać, teraz tam nie mam po co jeździć, i dobrze. To były najgorsze miejsca. Później może miejsce dobre, ten nieszczęsny składopis żeśmy z taką pieczołowitością mieli przekazać, dostałem lokal. I tym razem miałem absolutną pewność w mojej głowie, że nie może być, że tych ludzi, że coś tu może nie grać, prawda? Złapałem ten składopis i lecę tam chyba na trzecie piętro z tym składopisem pod pachą. Tłukę, dobijam, się kombinuję, chata zamknięta. Nikogo nie ma. Myśmy ten składopis zostawili u mojej teściowej na szafie. Później się wyjaśniało, okazało się, że tak, oni wiedzieli, Ci ludzie, że mają odebrać coś tam. Ale nie mogli czekać, bo pogoda była ładna, pojechali na działkę. Mamy konspirację. Dobrze, że to się udało, dobrze, że ten składopis dotarł w ręce tego „Tygodnika Mazowsze”. Nie przypominam sobie takich strasznie dziwnych wydarzeń. – Jakby Pan opowiedział o pewnej skrytce z pociągu między Warszawą a Paryżem. – A to była moja prywatna inicjatywa zupełnie. Pewnie wynikła, ja wiem z czego, ze szczęśliwego zbiegu okoliczności i pewnie z nudów. Pewnie z nudów, bo te transporty zaczęły jakoś tak iść, to zaczęło iść normalnie. Nie musieliśmy się jakoś wysilać. Zrobiła się z tego jakaś rutyna. I w którymś momencie Wiesio Moryc powiedział, że będzie wyjeżdżał z Polski. I chciał do Niemiec, bo gdzieś tam miał jakichś znajomych czy rodzinę, trudno powiedzieć. Więc ja mu zaproponowałem, żeby pojechał do Paryża. Że go tam w tym Paryżu jakoś potrafię ustawić w sensie roboty, tam innych zajęć. Bo było to Biuro Paryskie. Był też taki człowiek, znajomy Wojtka Fabińskiego, architekt. Wtedy jak Wiesio się zdecydował na ten wyjazd, pomyślałem sobie, dlaczego by nie zacząć przerzucać tej bibuły do Paryża, do Biura. Mając Wiesia po tamtej stronie, metoda była prosta, dziecinnie prosta. W toalecie w pociągu jest muszla klozetowa. Te muszle w tamtym okresie były robione w ten sposób, że one miały taką pustą przestrzeń dookoła. Była ta klapa, którą jak się naciskało nogą, leciała woda, jeżeli woda była oczywiście. To nie było takie oczywiste. Natomiast jeżeli się naciskało ręką, to nie uruchamiało się tego zaworu od wody. Więc należało ręką nacisnąć tę klapę, włożyć przygotowaną wcześniej przesyłkę szczelnie zapakowaną folię w kształcie takiej kielbasy, która tam ładnie wejdzie i się upcha. Później odebrać na miejscu. Nie można było tego robić przy odjeździe pociągu, ponieważ znowu to samo, tak jak i pod tymi kościołami. Kupa ludzi wsiadających. Kupa ludzi odprowadzających. Jakieś takie typy, które jakoś mi cuchnęły jednak bezpieką na odległość. Żadnej kontroli nad tym i możliwość wpady olbrzymia. Wymyśliłem, że można to zrobić w momencie, kiedy pociąg wraca z Paryża, nocuje na Gocławku i następnego dnia rano jedzie sobie z powrotem. To był skład mieszany. To była Bruksela, był Paryż, chyba coś tam jeszcze. Były 2 wagony paryskie. Były 2 wagony paryskie, więc zmaistrowałem tę przesyłkę, włożyłem i później przez jakiś okres, trudno powiedzieć ile, mi się wydaje, że miesiąc, ale może to nieprawda, że to miesiąc, przez jakiś okres sprawdzałem, czy ta lewa przesyłka chodzi w tę i z powrotem. Chodziła. Chodziła w tę i z powrotem, w związku z tym metoda była dobra. Instrukcję na temat tego, jak to się ma odbywać, Wiesio Moryc miał przed swoją podróżą do Paryża. Żeśmy przećwiczyli sobie razem, jak to wygląda i co się dzieje. Zaczęliśmy to przerzucać. I dlatego było „cio znajeł”. Tu znowu pamięć moja nie sięga, pamięć Sewka Blumsztajna jest inna, moja jest inna. Jakiś czas to chodziło, było to bardzo fajne. Pierwszy problem to było, niestety, że to jest ten sracz cholerny. Trzeba jednak zrobić to wszystko, co trzeba zrobić. Gumowe rękawiczki w tym momencie, jakby powiedzieć, są dowodem zbrodni, prawda? Czyli jednak trzeba

te ręce w gówno sadzić dla obrony ojczyzny. Nie zawsze to było przyjemne, nieraz było to dosyć nieprzyjemne. Szczególnie jeżeli tej wody nie było, bo jak nie było i w tej muszli, to nie było i w tej umywalce. Więc tam człowiek jeszcze jakoś wycierał, ale takie sobie nieprzyjemne. Mało mnie to nie kosztowało życia któregoś razu, bo miałem jechać pakować tę przesyłkę. A moja żona poleciła mi, żebym stał ziemniaki na placki ziemniaczane. Ja się zawsze kaleczę, jak te ziemniaki na placki ziemniaczane. I oczywiście się pokaleczyłem. Wody nie było w tejże tam muszli, więc się zapaskudziłem. Po powrocie do domu w nocy nagle poczułem się źle, dlatego patrzę, to była prawa ręka, a nie lewa na szczęście, ale już ten tężec zapierdzielał, gdzieś go tutaj miałem. Więc do Szpitala Bielańskiego, tam jakieś blokady, jakoś to robią, jakoś leczą. Wyszedłem z tego. Pakowałem ja, pakował Zenek Barejko, teraz tenże nasz, mój – skrzynka kontaktowa – Leszek Przykowski mówi, że on też pakował. Ja sobie nie przypominam. Może przeczytał, że pakował, może pakował. Nie będziemy żadnych sporów robić o to. I to działało, dopóki Wiesiek pracował w Paryżu i mógł te przesyłki odbierać. W momencie, kiedy Wiesiek dostał robotę poza Paryżem i nie było go, to tajemnicę skrytki przekazał do Biura Paryskiego „Solidarności” i tam człowiek miał to odbierać. I to się wpierdzieliło natychmiast. Nie zadziały też systemy alarmowe, bo ja zrobiłem to w ten sposób, że była jakaś taka znajoma, pod który numer należało zadzwonić w przypadku, kiedy przesyłka nie dojdzie, jakieś tam, nie wiem, ciocia Zuzia złapała gorączkę czy inne jakieś takie mądre hasło. Więc z naszej strony wszystko było w porządku, wszystko chodzi, jak chodziło. Ja pojechałem, jeździliśmy do Kutna, w Kutnie łapaliśmy ten pociąg do powrotu do Warszawy. Ja kupowałem sobie bilecik do Warszawy, to z tyłu za mną stał sobie jakiś taki facet. Na niego spojrzałem i mówię, cholera, ubek. Ubek i koniec. W końcu myślę, chyba jestem zmęczony, jak człowiek wszędzie ubeków widzi, to już nie jest dobrze. Ale jakoś stanąłem w takiej odległości, że widziałem, co on tam przy tej kasie robi. Kupił 2 bilety, patrzę na tego drugiego, mówię, też ubek, cholera, obydwu ubeki. Najrozsądniej było po prostu wyjść z tego dworca, tę przesyłkę unicestwić, wrzucić do jakiegoś kanału ściekowego, diabli wiedzą gdzie. I święty spokój, nie? Ale po pierwsze nie miałem sygnału, że to nie przeszło już wcześniej, a po drugie to ciągle to samo, a jeszcze raz, a później się zobaczy, nie? No to jeszcze raz. W momencie, kiedy przyjechał, znaczy na szczęście ten pociąg, nasz pociąg się spóźnił, przedtem przyjechał inny pociąg do Warszawy, wszyscy wsiedli. Nie wsiałem ja, nie wsiało tych 2 absztyfikantów też. Wtedy miałem pewność, że czekamy na ten pociąg, prawda, tak też się stało. Oni nie wiedzieli, jak te wagony stoją, nie mieli, nie sprawdzali tego wcześniej. Ja stałem tak, że wskakiwałem do tego wagonu natychmiast, jak on się zatrzymał, to władowałem moją przesyłkę, zasiadłem w przedziale i jestem spokojny. Przybiegli, siedli w przedziale obok. Wtedy miałem pewność, że jednak jesteśmy w tej samej sprawie. Ba, oni wiedzą, że to właśnie ja jestem ten tutaj zbój do schwytania. Z tym że pociąg już jechał sobie już i następny przystanek to jest Warszawa Centralna. Wcześniej już nie ma żadnego przystanku. Nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić, pociągnąć za hamulec i skakać. Jest to jakaś teoria, ale to jest tylko teoria. Bo to jest noc, ten pociąg nie staje w okamgnieniu, trzeba pociągnąć, wytrzymać nerwowo, żeby jednak trochę zwolnić, i próbować skakać. Ale jak się nie widzi, co jest za, to tylko po to chyba, żeby się zabić. Więc machnąłem na to ręką. Wyszedłem na papieroska, jeden z nich też wyszedł na papieroska, tam gadu, gadu. On nawet pierwszy z tej legendy mi przekazał, dlaczego nie pojechali tym wcześniejszym pociągiem. Ja dodałem moją, później poprosiłem o przypilnowanie mojego bagażu. Poszedłem szukać konduktora, bo tam się dopłaty robiło. No w sumie kumple tak jak trzeba. Pewnie w tej mojej głowie tkwiło to, że moją ostatnią szansą jest to, że oni jeszcze nie wiedzą, że ja o nich wiem. Musisz być tak głupi, żeby oni się nie domyślali, bo jeżeli oni się domyślą, że ja wiem, że oni są ubeki, że robimy w tej samej sprawie, to wezmą mnie od razu w tym przedziale skują i po ptokach, prawda, już się nic nie robi. Natomiast tak, ja wiem, to mi się jakoś tak po głowie

kręciło, ale żeby była to akcja przemyślana, ale był to impuls, trzeba było jakoś działać impulsywnie. I to wyszło. W międzyczasie jeden z nich poszedł do tej toalety, wrócił. Nie bardzo wiedziałem, czy coś znalazł, czy nie znalazł. Ja, szukając tego konduktora, zajrzałem, przesyłki nie było, więc oni mają ją w ręku, a w środku liścik napisany przeze mnie tak jak trzeba, długopisik, kartka, mój charakter pisma, sam napisałem. Na siebie napisałem. Głupio to wyglądało, ale wytrzymałem do końca. I jak pociąg wjeżdżał na ten Centralny, to po prostu wstałem nagle. Wszyscy wstali, będą wysiadać. Kto wysiada na Wschodnim? Ludzie jadą do Centralnego, bo stamtąd znowu mają jakieś inne możliwości ruchu. Nie wysiadam ja na Centralnym i tych 2 typów też nie wysiada na Centralnym. Pociąg już wjeżdżał w perony, ja wstałem, przepchałem się przez ten cały tłumek, który tam stał na tym korytarzu. Wyzywali mnie od najgorszych. Natomiast oni się zerwali natychmiast też, ale ich już ludzie nie przepuścili. Byłem pierwszy przy drzwiach, więc jak tylko mogłem te drzwi otworzyć, to otworzyłem. Wyskoczyłem i na schody ruchome biegiem. W połowie schodów się obejrzałem, patrzę, tam wiosną między tymi ludźmi łokciami. Ale to taka była odległość, że byłem wygrany, nawet pokazałem. I prysnąłem, udało się, prysnąłem. No i tyle, nie? Znaczący Biuro nie odebrało już wtedy żadnej przesyłki. Już ta pierwsza przesyłka była przechwycona albo jeszcze przez tego pracownika Biura i on pewnie robił z bezpieczką, albo już została przekazana wiadomość do bezpieczki. I już ją bezpieczka zwinęła, tę pierwszą przesyłkę. Jechałem na Rakowiecką rzeczywiście, czułem, że jadę na Rakowiecką, i nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić, ale człowiek jest aresztowany w momencie, kiedy ma założone kajdany. I to też jeszcze trzeba myśleć, a może po drodze się uda uciec. Jeżeli jest metr przestrzeni dookoła nas, to jeszcze nie jesteśmy aresztowani, jeszcze się nic nie stało, jeszcze może można coś wymyślić i tak poszło, poszło ładnie, poszło szczęśliwie. Nie potrafiłem znaleźć w IPN-ie żadnego śladu tego wydarzenia. Tak że nie mam nawet pojęcia, który to Departament robił, bo to mogła robić „I”, mogła robić „II”, to diabli ich tam wiedzą, nie? Więc nie zostało z tego nic. Może to gdzieś tam leży, tylko ja nie potrafiłem znaleźć, ale ja nie potrafiłem wpaść na żaden trop. Jakiś opis tego przecież musiał istnieć. Ale była sprawa założona bez zwątpienia SOR czy coś takiego, bo były konkretne działania, konkretna akcja, ale to nie jest jedno jedyne, czego nie ma, więc jak nie ma, to nie ma. Ale skończyło się przerzucanie bibuły do Paryża. Na pewno oprócz mnie bibułę do Paryża też wysyłał Czesław Bielecki, z tym że on pakował na bocznicy, tam na Gocławku, tam jak te pociągi stały, to on gdzieś pod spodem. Nie zapytywałem, gdzie on tam upychał. Ale gdzieś tam pod spodem to pakował. Kto mu rozpakowywał, jak to było schowane, może nie pod spodem. On mówił, że jakoś pod spodem. Później rozładunek, cała następna sprawa. Nie można nurkować pod ten pociąg, jak on tam przyjechał na dworzec. Ale może też by wiedzieli, gdzie bocznicą. Nie mam pojęcia. Nigdy go nie pytałem o to. Na pewno my, na pewno Bielecki. Pewnie jacyś inni też, bo to jest niemożliwe, żeby nie zostało po tym specjalnie śladów. To było fajne, bo we wtorek rano „Tygodnik Mazowsze” już był cytowany przez Wolną Europę, a we wtorek po południu był w kolportażu w Warszawie. Więc niedawno odeszły Jerzy Urban nawet ogłosił, że ten „Tygodnik Mazowsze” jest drukowany w Paryżu. To była moja inicjatywa, mnie nikt do tego nie namawiał, nikt mnie do tego nie gonił, żeby sobie czas wypełnić i żeby fajnie było, tośmy taki pomysł mieli genialny. – Pan już miał dostęp do „Tygodnika” przed dystrybucją w Polsce? – Tak, tak. To znaczący ja go odbierałem ciepłego z jakiejś drukarni, na mieście odbierałem. W jakiś sposób. Pewnie Ewa, znowu Ewa po prostu, podłączyła jakąś tam nitkę, że te pierwsze egzemplarze, które schodziły, natychmiast ktoś tam się ze mną spotykał i ja to dostawałem. Tak że to jeszcze nakład nie był zrobiony, a już prawie jechał. – Panie Januszu, jakby Pan chciał opowiedzieć taką historię przypadkowego spotkania z kolegą Julkiem Szymańskim. – Oj, biedny Julek, co tu wspominać. Julek jest do dzisiaj moim kolegą, bo żeśmy się tam odnaleźli. Natomiast Julek był człowiekiem jednak mocno lewicowym w czasach, kiedy mieliśmy PRL, mieliśmy całą masę jakichś

takich starć. Chyba łącznie z jakimś mordobiciem od czasu do czasu. A zaraz skończyliśmy szkoły, no i tyle. Później nie było Julka. Każdy żył swoim życiem. Ja go kiedyś trafiłem na rogu Marszałkowskiej i Nowego Światu. Znaczący go trafiłem, on mnie trafił. Zaczął tam na mnie wykrzykiwać: „Janusz, Janusz”. To było śmieszne. „Widzisz, co się dzieje”. Ja się rozejrzałem dookoła, mówię: „Ja wiem, nic się nie dzieje. No co, ludzie chodzą, ciepło jest, nie jest źle”. „Wiesz, o czym mówię”. „Wiem, nie wiem”. W końcu dałem się namówić, że przyjadę do niego do mieszkania, żeby sobie pogadać. Mieszkał blisko, na Chomiczówce mieszkał, więc to 3 kroki. Julek się nawet jakoś tam przygotował na tę moją wizytę. Flachę wody kupił, jakieś takie inwestycje tam poszły. To wszystko, szedłem tam. Olbrzymia część opozycji, ale ta olbrzymia część opozycji musiała ustawiać ołtarzyki. Jakiś tam regał, jakaś tam meblościanka i tam są poustawiane a to znaczki, a to plakietki, a to jakieś okolicznościowe, a to to, a to tamto. To była bardzo fajna sprawa, ponieważ po tych znaczkach, jak ktoś był w temacie, po tych pamiątkach można było sobie już powiedzieć mniej więcej, dla kogo on robi. Czy z kim ma kontakt, niekoniecznie musi robić. Z kim ma kontakt, ja myślę, że bezpieka widziała to tak samo doskonale, jak i ja wiedziałem, bo przecież to nie można. Julek, popatrzyłem na ten jego ołtarzyk, mówię CDN. Czesław Bielecki. Widać to wyraźnie po charakterze ołtarzyka. Julek mi proponował, żebym zaczął coś robić w tym podziemiu. I że on może mnie podłączyć do jakiegoś kolportażu. Znaczący mnie głupio było, nie było mi głupio, nie będę mu opowiadał czegokolwiek, bo po co? Co w tym momencie można powiedzieć? „Nie, Julek, ja to nie, wiesz, ja to się boję”. Julek pojechał do tej Ameryki swojej w przekonaniu, że ja jak można było mordę piłować, to piłowałem. Jak przyszło na poważnie, to skończyło się, schowałem się i się bałem. Dopiero jak powstała ta książka, dopiero jak Julek przeczytał, rzucił mi się na szyję, powiedział, on ją przetłumaczy na amerykański. Tłumaczy do dzisiaj. Może kiedy przetłumaczy, a może nigdy nie przetłumaczy. Ale no tyle, prawda? Okazało się, że Julek zmienił poglądy, Julek zaangażował się. I tak to, z tym, że ja się boję. Ewa i Krzysiek Kuranowie są bliskimi znajomymi profesora Wielowieyskiego, ojca Moniki, którą tu widzimy od czasu do czasu w telewizorni czy też czytamy w gazecie. Profesor Wielowieyski w którymś momencie zaproponował Kuranom, że ten ich domek, to miejsce dałoby się wykorzystać na różnego rodzaju działania opozycyjne. No i co oni mieli biedni zrobić z tym fantem? Nie powiedzą mu: „Nie, bo, panie profesorze, my to już robimy”. „Nie, panie profesorze, nie, wie pan, to nie wolno, my się boimy”. I oni przeżyli, znaczący Wielowieyski przeżył w takim spojrzeniu na to, cały ten okres, przeżył, nie wiem, 3 lata temu nazad, 3–4. Krzysiek w którymś momencie mówi: „Gdyby to się dało jakoś wyprostować, jakoś mu przekazać, że to inaczej było, bo wiesz, nawet Monika, znamy się, ale już nam dzień dobry nie mówi, odwraca głowę, bo my takie tchórze z tamtego okresu”. Więc ja tam jakoś się skontaktowałem z tym Wielowieyskim. Podrzuciłem mu tę jego książkę. Odpowiedź była: „Przecież ja o tym wszystkim nic nie wiedziałem, co się dzieje pod moim nosem”. Mówię: „Panie profesorze, chyba na tym polega konspiracja, do czorta”.